George Tabori

PEEPshow

benefis aktora

(Peepshow - ein Rückblick)

TEATR NOWY

tn

IM. TADEUSZA ŁOMNICKIEGO W POZNANIU

George Tabori
PEEPshow
benefis aktora

(Peepshow - ein Rückblick)

PRZEKŁAD
JACEK ST. BURAS

OPRACOWANIE TEKSTU
KATARZYNA MIGDAŁOWSKA,
PIOTR KRUSZCZYŃSKI

REŻYSERIA
PIOTR KRUSZCZYŃSKI

SCENOGRAFIA, ŚWIATŁA, VIDEO
MIREK KACZMAREK

KOSTIUMY
JOLA ŁOBACZ

MUZYKA
PAWEŁ DAMPC

CHOREOGRAFIA
NATALIA DRAGANIK

OSOBY
Misio - MICHAŁ GRUDZIŃSKI
Matka - BOŻENA BOROWSKA-KROPIELNICKA
Ojciec - ILDEFONS STACHOWIAK
Niania - MARIA RYBARCZYK
Pani Puha - SŁAWA KWAŚNIEWSKA
Fałszywa Garbo - OKSANA PRYJMAK
Amanda - ANTONINA CHOROSZY
Lejdi O. - DOROTA ABBE
Suflerka - HANNA KUJAWIAK

MUZYCY
KRZYSZTOF SAMELA / MARCIN CHENCZKE - kontrabas
GRZEGORZ KOPALA - gitara
PAWEŁ DAMPC / JACEK PISKORZ - fortepian

ASYSTENT REŻYSERA / INSPICJENT
HANNA KUJAWIAK

ASYSTENT KOSTIUMOGRAFA
ANNA KONIECZNA

REALIZATORZY DŹWIĘKU
PIOTR DELIMATA,
SŁAWOMIR KOWALCZYK,
MICHAŁ STRYSZYK,
SŁAWOMIR WAWRZYNIAK

PROWADZĄCY ŚWIATŁA
LESZEK KARGOL

OPERATOR KAMERY
ANDRZEJ HAMERSKI

CHARAKTERYZATORKI
ALINA MAGNUS,
MAŁGORZATA STAWICKA

REKWIZYTORZY
RYSZARD PSZCZOŁA,
JERZY ŚWIT

GARDEROBIANE
ANNA BARTKOWIAK,
BARBARA CIESIELSKA,
ILONA PIOTROWSKA

PREMIERA
4 MAJA 2012, DUŻA SCENA
SEZON 2011/2012

W tekście zacytowano fragmenty dramatów: *Król Lear* Shakespeare'a w przekładzie Stanisława Barańczaka, *Portret artysty z czasów starości* Thomasa Bernharda w przekładzie Moniki Muskały oraz *Garderobiany* Ronalda Harwooda w przekładzie Michała Ronikiera. Cytaty z *Sonetów* Shakespeare'a w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.

podglądać, podglądać, PODGLĄDAĆ...

Peepshow to sztuka bardzo osobista, tak bardzo osobista, że w zasadzie straciła głównego bohatera... Niemal każdy, kto choć raz dotknął zawodowo teatru może znaleźć w niej fragment o sobie. Jest przez to niebezpieczna i dojmująca. Bezwzględnie odsłania rozterki i słabości teatralnego świata.

Tabori napisał sztukę na swoje siedemdziesiąte urodziny. Spojrzał wstecz i rozliczył się z życiem bardzo brutalnie. Napisał o sobie – dramatopisarzu i reżyserze – nazywając się przewrotnie "Willie".

Jego Silly-Willie wiedzie żywot w rytmie wyznaczanym przez cytaty z Szekspira, szyderstwem pokrywając twórczą zazdrość i rozczarowanie. Tabori odkrywa swojego ducha, swoją zmorę, która ciąży nad jego życiem. Nigdy nie był i nie będzie Szekspirem.

Rywalizacja wydaje się być nieodłącznym elementem twórczości. Podobnie jak potrzeba nieustannego poszukiwania, doskonalenia i porównywania. Teatr staje się bezwzględnym organizatorem życia, nie znoszącym sprzeciwu, narzucającym własne prawa. Nie można się oderwać od teatru, po prostu wyjść i pójść do domu. Teatr pójdzie za nami, bezczelnie, nie kryjąc się wcale z zamiarem uczestniczenia w naszym prywatnym życiu. Będzie się przyglądał, podglądał, inspirował, żywił, zżerał...

Jak w *Peepshow*. Dlatego sięgamy po najmniej wzniosły, najmniej piękny obraz teatru. Bo jest doświadczeniem łączącym wszystkich po naszej stronie kurtyny, doświadczeniem skrzętnie skrywanym, bardzo intymnym i bardzo... teatralnym.

W naszym *Peepshow* pokażemy sceny z życia aktora, sceny z życia teatru, sceny ze sceny. Pokażemy "benefis aktora", czy może raczej "benefis aktorów", spektakl, w którym aktorstwo stanie się tematem, celem, powodem. Wedrzemy się w sam środek teatru życia i będziemy podglądać, podglądać, podglądać...

Katarzyna Migdałowska

michał GRUDZIŃSKI

Od małego bawiłem się w teatr i w doktora. To ważne: nie w aktora się bawiłem, tylko w teatr. Wycinałem wnętrze dyni i wkładałem latarkę, budowałem domek i ustawiałem ludziki. Fascynowało mnie to tworzenie świata. W doktora natomiast bawiłem się tak, że mając szpulkę nici, a w tej szpulce ołówek, biegałem za tatą, waliłem go w... tam gdzie plecy kończą swą szlachetną nazwę i wołałem, że doktór robi zastrzyk. Tata uciekał, bo mocno waliłem. Plany związane z medycyną przekreśliło pierwsze zetknięcie z nieboszczykiem. Było ciepło, a ciało leżało już kilka dni... Zdecydowałem, że nie będę lekarzem. Zresztą i tak mdlałem na widok krwi.

Pozostała zabawa w teatr. Z tym, że teraz to już był taki "teatrzyk", w którym sam brałem udział. Ten pierwszy teatr był pod stołem. Teraz myślę, że stół był normalnej wielkości, ale wówczas wydawał mi się ogromny. Był on nie tylko moim pierwszym teatrem, ale też odegrał niebagatelną rolę w moim cudownym uzdrowieniu. Na nim właśnie aplikowano mi antybiotyk, z trudem przez ojca zdobyty. Ta "stołowa" kuracja prawdopodobnie uratowała mi życie. I pod tym stołem miałem teatrzyk. Jeszcze się wtedy nie jąkałem. Chyba. Wymyślałem różne historyjki, mówiłem wierszyki. Na kanapie siadała mama, gosposia Emilia – moja niania i z zachwytem oglądały moje kreacje.

Pierwszy publiczny występ miałem w Dzień Kobiet. To była sala jakiegoś kina, pamiętam takie wąskie proscenium. Mówiłem wierszyk o Chińczyku co ryż pałeczkiem jadł i łańczyłem jako muchomorek, w takim charakterystycznym kapelusiku. I kiedy dzieci już zeszły, podszedłem do krawędzi sceny i oznajmiłem "Mamusiu, wcale się nie bałem!". Pamiętam śmiech widowni. Wcale mnie to nie speszyło, opóźniałem zejście i ciągle się kłaniałem.

A potem zacząłem się jąkać. Nie wiem dlaczego. To było bardzo kłopotliwe, bo dzieci są okrutne. Przeżyłem wiele przykrych chwil. Mama prowadzała mnie do różnych specjalistów. Jednego szczególnie pamiętam. Nazywał się tak jakoś Świnka czy Wieprzek, w każdym razie coś z nierogacizny, i cały czas badał moją inteligencję, ale kompletnie mi nie pomógł.

Co ciekawe, kiedy grałem jakąś postać, to wcale się nie zacinałem. Schowany za rolą szukałem rozwiązań, które pomagały mi mówić płynnie. Działałem więc w różnych grupach amatorskich, teatrzykach poezji. Tak zajęty byłem graniem, że nie wystarczyło czasu na matematykę. Oblałem maturę i zostałem powołany do wojska.
A w wojsku – oczywiście – też założyłem sobie teatrzyk. I wciąż siedziałem w "kiciu", bo uciekałem na próby. "Samowolne oddalenie" nie było w wojsku mile widziane.
Poza tym – z powodu jąkania – byłem idealnym materiałem na ofiarę. Ot, chociażby etatowo niemal, delegowany byłem do szorowania ubikacji... Ale jak trzeba było zrobić imprezę w kasynie oficerskim, "jąkała" okazywał się bezcenny! Moje występy bardzo się podobały. Kiedy kończyłem, niecenzuralny aplauz nie miał końca. Byłem gwiazdą, nie ofiarą.
Wojsko – w pewnym sensie – udoskonaliło we mnie umiejętność pokonywania strachu, bardzo przydatną w pracy na scenie. Oczywiście metodą polową, niezbyt subtelną. Do samolotu wsiadałem (mniej więcej) dobrowolnie. Potem było trudniej. Sierżant potężnym kopniakiem wyrzucał mnie z samolotu. Na szczęście ze spadochronem...
W wojsku miałem możliwość przyglądania się ludziom. To nie był stracony czas. Wiele się dowiedziałem o psychice ludzkiej patrząc na otaczających mnie żołnierzy.

Pod koniec służby zacząłem się interesować możliwością zdawania do szkoły teatralnej. Usłyszałem, że jak zdam (a było w tym "zdam" wiele powątpiewania...) to muszę dostarczyć dokumenty świadczące o uzyskaniu matury. Zapisałem się więc jako ekstern na egzaminy maturalne. Tym razem zdałem bez problemu, choć "dla ułatwienia" wybrałem sobie do tego zdawania (niezbyt mądrze) blok przyrodniczy, taki z chemią.

Do szkoły teatralnej dostałem się warunkowo, ostatni na liście. W czasie egzaminów starałem się opanować jąkanie. To kalectwo strasznie ogranicza, odbiera pewność siebie. Po przesłuchaniu podszedł do mnie Jan Świderski i stwierdził "No, kochany, mamy felerek. Ale dobrze sobie z tym radzisz!". Prawdę mówiąc, to do tej pory miewam ten "feler", ale już od dawna wiem, jak go opanować.
W ogóle w Świderskim się "zakochałem". Był moim guru. Ojcował mi przez całą szkołę, a na pamiątkę tego "ojcowania" została mi czapka ze sztucznego futerka, którą kupił mi w trzaskający mróz.

Z mojego roku w szkole teatralnej tylko ja pozostałem w zawodzie. Reszta się jakoś rozproszyła, znalazła inną drogę w życiu. Byłem chyba najwytrwalszy, najbardziej zdeterminowany. Ja robiłem w życiu różne rzeczy. Pracowałem w kopalni, wprawdzie nie na dole, ale jednak. Liczyłem wózki z urobkiem. Byłem urzędnikiem w magistracie. Byłem pomocnikiem malarza pokojowego i byłem w tym bardzo dobry, majster-Ślązak mówił "No, Michoł, ty mosz recht!". Ja nie boję się żadnej roboty. Ale te inne zajęcia są strasznie nudne!

Po szkole przyszedłem do Poznania i jestem do dziś. Zaczęło się od zastępstwa, prawdziwy debiut to rola Sekretarza w *Płaku* Szaniawskiego.

Całe życie spędziłem w jednym teatrze, ale przeżyłem tutaj pięć dyrekcji i każda była inna, jakbym pracował w pięciu teatrach... Wiele propozycji odrzucałem. Kiedyś machnąłem ręką na film i teraz żałuję. Ale to był okres Cywińskiej i panowało takie przekonanie, że ponieważ "robimy teatr", to nic innego się nie liczy. Propozycji filmowych nie brakowało, ale ja za często odmawiałem i przestano je ponawiać... Ale za to dużo robiłem dla telewizji, zwłaszcza programów rozrywkowych. Można zagrać w teatrze wiele ról, ale dopiero szklany ekran daje popularność. Moja sąsiadka powiedziała mi "Teraz w serialu jesteś, to ci twarz urosła w cenie". I coś w tym jest. Na szczęście te straty rekompensuje moja publiczność.
Bardzo cieszy mnie to, co robię.
W teatrze trzeba być prawdziwym. Trzeba być sobą, aczkolwiek trzeba siebie próbować przedstawiać w sposób charakterystyczny. Trzeba szukać prawdy i ubrać ją w formę.

Cenię uczciwość w zawodzie. Szczycę się intuicją aktorską. Na scenie mogę zrobić wszystko, ale muszę wiedzieć po co, czemu to wszystko służy. Nie lubię w teatrze efektów dla efektu. A to się, niestety, często zdarza.
Myślę, że aktorzy to duże dzieci. Nie wiem, na czym to do końca polega. Może na specyficznej wrażliwości, na oglądaniu tego świata inaczej? Na pewno jest też chowaniem się przed światem w inny świat, chowaniem się przed tym strasznie okrutnym życiem. Ktoś mądry powiedział, że światem rządzi krew i sperma. I to jest prawda, rządzą tym światem. A ja to widzę, wydaje mi się, że widzę nawet więcej niż inni. Oglądam to i się śmieję, ale w tej wesołości jestem smutny, to coś w rodzaju klauna. Śmiech przez łzy. Klaun w cyrku – to chyba dobre określenie.
Niektórzy twierdzą, że klaunada to coś złego. Nieprawda. Tylko to musi być dobra klaunada. Niewielu było naprawdę dobrych klaunów. Klaunów-filozofów...

Bardzo chciałem kiedyś zagrać w cyrku. I w końcu nadarzyła się okazja. Przyjechał cyrk, a dyrektor zgodził się na mój występ. Wziąłem na warsztat taką słynną scenę z workiem z *Szelmostw Skapena*. I kiedy próbowałem w tym cyrku, to z próby na próbę przychodziło więcej osób. Na "generalnej" to już chyba byli wszyscy cyrkowcy. I oni mi bili brawo, podobało się im. Niestety, akurat w teatrze ktoś zachorował, nastąpiła zmiana repertuaru i nie zagrałem w cyrku... Ale i tak myślę, że to co robię to swego rodzaju klaunada, tylko bardzo serio. Aktorzy uciekają od tego słowa, ale niesłusznie. Bo my jesteśmy klaunami. A ja w dodatku jestem bardzo smutnym klaunem.

A co poza teatrem? Lubię majsterkować, naprawiać różne rzeczy. Dawniej naprawiałem choćby silniki w małym i dużym Fiacie. To były proste urządzenia, kupowałem części, montowałem i już! Mam całe mnóstwo narzędzi i urządzeń w garażu i na strychu. Żona mówi, że wszędzie bałagan, ale przecież to wszystko jest potrzebne... Ilekroć ktoś z sąsiadów przyjdzie w poszukiwaniu narzędzi, zawsze je u mnie znajdzie. Bo jak można żyć bez drabiny na przykład?

Lubię psy. W ogóle zwierzęta się do mnie garną. Lubię zwierzęta i lubię niektórych ludzi. Ale nie znoszę tłoku. Uciekam z tłumu. Nie lubię wczasów, sanatoriów. Od dziecka tak miałem. Raz w życiu pojechałem na kolonie. Po kilku dniach napisałem do mamy list i prosiłem, żeby mnie zabrała, bo ucieknę. Wysłałem ekspresem.

Nie lubię też zawiści, donosicielstwa. Ja prawdę mówię w oczy. Ale często żartobliwie... I rozdaję "pistacje", bo tak sobie myślę, że jak umrę, to chociaż będą pamiętali, że to był ten, co rozdawał czekoladki.

bożena
BOROWSKA-KROPIELNICKA

Urodziłam się w Nowogardzie. Byłam drugą córką, więc tata wychowywał mnie trochę na chłopaka. Do tej pory potrafię wszystko naprawić.

Śpiewałam od zawsze. Kiedy rodzice wychodzili z domu, sąsiadki zdawały im relację z tego, co córka robiła podczas ich nieobecności. A co robiłam? Włączałam sobie płytę z ariami operowymi i śpiewałam. Do tego tańczyłam na stole, albo tupałam na podłodze. Uwielbiałam to! Zawsze, gdy przychodzili do nas goście, tata stawiał mnie na stole i mówił "Teraz Bożenka będzie śpiewała!". I śpiewałam.

Wyjeżdżałam często na kolonie i obozy harcerskie i zawsze na nich startowałam w konkursach piosenki. Krzyczałam tak bardzo, że kiedy dochodziło do finału, to miałam zaledwie pół głosu. Leczyłam gardło wodą z solą. Ale i tak, całkiem zachrypnięta, wygrywałam te konkursy. Byłam z tego bardzo dumna. W szkole, na akademiach śpiewałam z zespołem muzycznym.

Zamierzałam jednak połączyć swoje życie z malarstwem. Miałam w domu sztalugi i farby olejne i ciągle malowałam. Nieustannie byłam ubrudzona farbą i wszystko wkoło było pomazane. Mnie to nie przeszkadzało, ale mojej mamie – bardzo.
Zdałam do Liceum Plastycznego w Szczecinie. Mój pan od muzyki był w szoku, bo był przekonany, że zdaję do szkoły muzycznej... Obraził się.

Chciałam zostać scenografem. Po liceum zamierzałam zdawać na Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Złożyłam teczkę i dokumenty na Wydział Projektowania Wnętrz. Była spora szansa, że się dostanę.
Ale tak w międzyczasie, po cichu, ciągle chodziłam do teatru. To był bardzo dobry czas dla obu szczecińskich scen. Poza tym często przyjeżdżał do Szczecina Wrocławski Teatr Pantomimy Tomaszewskiego. Byłam coraz bardziej zafascynowana teatrem.

Zawsze gdzieś tam w głębi duszy chciałam być aktorką, ale byłam skromna, myślałam, że się nie nadaję. Bałam się, ale przygotowałam teksty na egzaminy. Pojechałam do Warszawy na egzamin do Akademii Sztuk Pięknych, ale poszłam do szkoły aktorskiej. Weszłam na salę, powiedziałam dosłownie dwa słowa i usłyszałam "Dziękuję!". Potem dostałam taki duuuży dokument, gdzie było napisane: dykcja – bardzo dobry, interpretacja – bardzo dobry i tak dalej. Wszystko – bardzo dobry. A na końcu uwaga "Mały wzrost, brak warunków do pracy na scenie"...
Oczywiście się rozpłakałam. Nie dałam jednak za wygraną. Byłam technikiem sztuk plastycznych ze specjalnością wystawienniczą i postanowiłam to wykorzystać właśnie w teatrze. Udałam się do Krystyny Meissner, której teatr cieszył się sukcesami i zapytałam, czy zatrudni mnie jako plastyka i adeptkę sztuki aktorskiej. Zaangażowała!

W teatrze byłam inspicjentem, suflerem, plastykiem, a czasem nawet fryzjerką. Dotknęłam teatru. Spróbowałam go. Dlatego wiem, jak ważna jest praca każdej osoby w teatrze, nie tylko na scenie.
I w końcu stało się. Przyjechał reżyser i spotkawszy mnie na korytarzu zaproponował mi rolę Klary w *Zemście* Fredry. Zagrałam. Zupełnie nieświadomie. Umierałam ze zdenerwowania. Mama w pierwszym rzędzie strasznie przeżywała moją tremę. Natomiast wujek stwierdził stanowczo, że zerwie z rodziną, jeśli ta przekona mnie do zrezygnowania ze sceny.
Z perspektywy wiem, że grałam wówczas jedynie świeżością, naturalnością. W scenie miłosnej z Wacławem strasznie się czerwieniłam...

Żeby szkolić głos zaczęłam edukację w Średniej Szkole Muzycznej. Tam zaproponowano mi, żebym spróbowała swych sił w Wyższej Szkole Muzycznej na Wydziale Wokalnym. Pojechałam więc. A tam na egzaminie powiedzieli mi "Dziecko, w twoim wieku i z tak dużą skalą głosu, nie zrobimy z ciebie dobrego sopranu koloraturowego, a za młoda jesteś, by śpiewać w altach. Więc jak chcesz być aktorką, to graj w dramacie...".

Kiedy miałam już za sobą kilka ról i zaczęłam poważnie myśleć o pozostaniu w zawodzie, Krystyna Meissner doradziła mi, bym nie poprzestawała na egzaminie eksternistycznym, lecz jednak skończyła szkołę.
Zdałam egzaminy do PWST we Wrocławiu i tam poznałam mojego męża. Zakochaliśmy się na ostatnim roku. Graliśmy *Biesy*. Mirek grał Barbarę Pietrownę Stawrogin, ja – Praskowię. Ponieważ jestem plastykiem, cały ciężar charakteryzacji Mirka spadł na mnie. Spojrzałam w te oczy i... stało się! Potem się całowaliśmy namiętnie w kulisach jako Barbara i Praskowia. To było piękne.

Postanowiliśmy pobrać się w sierpniu. Wcześniej jednak był Festiwal Szkół Aktorskich w Łodzi i na tym festiwalu była też Meissner. Zaproponowała mojemu narzeczonemu angaż w Toruniu. Potem spotkała też mnie i zapytała, czy nie chciałabym u niej pracować. Bardzo się ucieszyła, że zamierzamy się pobrać.
Pojechaliśmy do Torunia. Dostaliśmy trzypokojowe mieszkanie. To były piękne czasy dla aktorów. Graliśmy właściwie wszystko. Spektakle dla dzieci, musicale, spektakle dramatyczne, a nawet operowe!

Po trzech latach w Toruniu skontaktował się z nami Eugeniusz Korin i zaproponował pracę w Teatrze Nowym w Poznaniu. Potrzebował śpiewającej aktorki, ale również zaproponował mi rolę Kordelii w *Królu Learze* u boku Tadeusza Łomnickiego. Jak wszystkim wiadomo, Tadeusz Łomnicki zmarł na scenie Teatru Nowego podczas jednej z ostatnich prób przed premierą *Króla Leara*. Ostatnie słowa wypowiedziane przez tego wielkiego aktora "Więc jakieś życie świta przede mną, dalej łapmy je, pędźmy za nim, biegiem, biegiem!" oznaczały również dla mnie nowy etap życia – będę mamą.

Narodziny Kacpra. Wszystko się zmieniło. Nie teatr, lecz syn stał się dla mnie najważniejszy. Odrzucałam wszystkie propozycje i nie żałuję ani chwili. Oboje z mężem postanowiliśmy, że dom dla naszego dziecka będzie ważniejszy niż kariera. To była słuszna decyzja.

Uwiliśmy nasze gniazdko pod Poznaniem. Tam właśnie odkryłam jeszcze jedną miłość w życiu: róże. Kiedy zobaczyłam je na plantacji prowadzonej przez sąsiadkę – zakochałam się. Posadziliśmy ponad sto krzaków! Nie wszystkie przetrwały zmienne warunki pogodowe, część z nich zastąpiliśmy innymi kwiatami. Stworzyliśmy swój mały raj, codziennie rano, kiedy wstaję dziękuję Bogu za to miejsce i za moich chłopaków.

ildefons STACHOWIAK

Moja przygoda z teatrem rozpoczęła się w przedszkolu, od tak zwanego "występowywania". Pamiętam przedstawienie z okazji Dnia Górnika. Grałem jednego z dwóch amantów i kiedy piękna cyganka miała właśnie dokonać wyboru między mną a moim rywalem, tak nieszczęśliwie machnąłem ręką, że dzbanek, który trzymała upadł na podłogę i rozbił się na drobne kawałki. W oczach małej aktorki pojawiły się prawdziwe łzy. Rozpacz i przerażenie zawładnęły sceną. Zachowałem zimną krew i ratując przedstawienie zacząłem improwizować wymyślając słowa piosenki, mającej pocieszyć moją ukochaną. Do dzisiaj pamiętam refren:

Cyganeczko nie płacz, nie płacz, nie płacz
Ja ci za dzban zapłacę,
Ja ci za dzban zapłacę...

Nikt z widzów nie zorientował się, że doszło do jakiejś wpadki. Krótko mówiąc – SUKCES. Potem nastał czas edukacji szkolnej. Fascynacja naukami ścisłymi oraz sportem przeplatały się z zainteresowaniem płcią odmienną. Całą swoją uwagę skupiłem na nauce, zawodach sportowych i koleżankach z klasy. Byłem rozdarty między chęcią zrobienia kariery sportowej, dokonaniem odkrycia naukowego i przeżyciem wielkiej romantycznej miłości. Wolałem mecze siatkarskie, olimpiady matematyczne i pełne romantycznych uniesień młodzieńcze flirty od konkursów recytatorskich i zabawy w teatr. Nawet kiedy w liceum pojawił się epizod z kabaretem szkolnym, nigdy, w najbardziej skrytych marzeniach, nie wiązałem swojej przyszłości z aktorstwem.

Bez problemu dostałem się na politechnikę – na Wydział Mechaniczny. Realizując marzenia o karierze naukowej, rzuciłem się w wir badań trybologicznych (trybologia – nauka o tarciu) w kole naukowym. Zwieńczeniem mojej nowej pasji było zdobycie tytułu Młodego Mistrza Techniki na Ogólnopolskim Konkursie.

Na trzecim roku przyjaciel zaprosił mnie na zajęcia do Wiesława Komasy – aktora Teatru Nowego, który prowadził grupę teatralną "Penetracje" w Domu Kultury "Pod Lipami". Już po kilku spotkaniach wiedziałem, co naprawdę mógłbym w życiu robić z pasją. Tarcie zmieniłem na "Penetracje"...

Pewnego dnia Wiesiek Komasa zadzwonił do mnie i powiedział, że zarekomendował mnie Krystynie Meissner – dyrektorce Teatru w Zielonej Górze. Wstałem następnego dnia wcześnie rano, spakowałem trzy pary skarpetek, dwie pary majtek, dwie koszule (nawet łóżka nie zasłałem) i pojechałem do Zielonej Góry. Meissnerowa zaproponowała mi pracę w teatrze. Dostałem małą rólkę w *Pluskwie* Majakowskiego, w jej reżyserii. Byłem szczęśliwy. Nie wróciłem do Poznania. Zostałem w Zielonej Górze.

Na wiosnę przyszedł czas na egzamin do szkoły teatralnej i kiedy moje podania o dopuszczenie mnie do egzaminu wstępnego (przekroczony limit wieku) w Warszawie i Krakowie zostały odrzucone, wsiadłem do pociągu i pojechałem do Wrocławia. Był piątek. Egzamin rozpoczynał się w poniedziałek. Okazało się, że za dwie godziny mają być rozpatrywane podania takich jak ja ("staruszków" chcących realizować swoje marzenia). Na kolanie skleciłem łzawą opowieść o mnie i ostatniej szansie. To było moje "być albo nie być". Odpowiedź miałem dostać w sobotę. Niestety nie dostałem, ale na egzamin pojechałem. I dobrze, bo na liście egzaminacyjnej byłem. Zostałem przyjęty do szkoły i nastąpił jeden z najpiękniejszych okresów mojej młodości – studia w szkole teatralnej, czas "burzy i naporu", czas "niewiedzenia" (bardzo potrzebny w życiu młodego artysty), czas wyboru mistrza i mentora, czas negacji wszystkiego i wszystkich.

Po dyplomie poszedłem do Teatru w Toruniu. Spędziłem tam pięć fantastycznych lat. Wracając po udanej rozmowie z Jackiem Wekslerem na temat mojej pracy w Teatrze Polskim we Wrocławiu, wstąpiłem do Teatru Nowego w Poznaniu, żeby odwiedzić mojego profesora z PWST, Eugeniusza Korina, który był dyrektorem Nowego. Okazało się, że miał dla mnie fajną rolę. No i zostałem w Poznaniu... już dwadzieścia jeden lat.

Dzięki tej decyzji poznałem mojego najlepszego przyjaciela i jedną z dwóch największych miłości, jedyną kobietę – Małgosię. Do moich największych sukcesów życiowych zaliczam doprowadzenie jej do ołtarza i złożenie jej przysięgi małżeńskiej oraz przyjście na świat mojej drugiej miłości i największego skarbu – synka Kajtusia.

Teatr zajmował i będzie zajmował w moim życiu ważne miejsce, ale po dwudziestu siedmiu latach pracy wiem, że nie najważniejsze. Moja rodzina stanowi największą wartość w moim życiu i nadaje sens wszystkiemu, co robię. Współczuję tym, którzy dla teatru są w stanie poświęcić rodzinę, miłość, przyjaźń i wszystko to, co stanowi jakimi jesteśmy ludźmi. Świadome aktorstwo to moim zdaniem – oprócz zawodu, narzędzie do zrozumienia ludzi i opisania świata jaki ich otacza, do stawania się coraz lepszym, bardziej wartościowym człowiekiem. Chciałbym, żeby ktoś kiedyś pomyślał i szczerze powiedział o mnie – "to dobry człowiek".

maria RYBARCZYK

Jestem stąd. Pochodzę z Poznania. Tutaj chodziłam do żłobka, przedszkola, szkoły, liceum. Mój dziadek był powstańcem wielkopolskim.

Jak większość dzieci miałam swój świat fantazji, ale niechętnie bawiłam się w teatr, nie występowałam programowo na rodzinnych przyjęciach.

Moje pierwsze istotne "produkcje artystyczne" miały miejsce na szkolnych akademiach i na konkursach recytatorskich. Laureaci tych ostatnich otrzymywali w nagrodę bony towarowe, które można było zrealizować w słynnym domu towarowym "Okrąglak". Dzięki nim mogłam, jako zbuntowana nastolatka, ubierać się w odlotowe ciuchy, które moja przyjaciółka potrafiła wyczarować z materiałów nabytych za wspomniane bony.
Akademie, konkursy, wakacyjne ogniska, a w szkole średniej dodatkowo kółko teatralne, dawały mi dużo radości, ale marzyłam o medycynie. Chciałam zostać lekarzem medycyny sądowej.

Zderzenie czołowe z przedmiotami "biol-chem" – na poziomie licealnym – zmieniło mój życiowy azymut. Pozostał fakultet humanistyczny. Myślałam o dziennikarstwie lub polonistyce.
Muszę uczciwie przyznać, że miałam w życiu szczęście do wspaniałych nauczycieli i pedagogów. Do zdawania do szkoły teatralnej zachęciła mnie moja polonistka. Była świadkiem moich pierwszych występów podczas międzyszkolnych konkursów teatralnych. Dostaliśmy wtedy dość istotną nagrodę, a w prasie ukazały się moje kontrowersyjne wypowiedzi. Nie pamiętam dokładnie o co chodziło, ale wiem, że były to czasy, kiedy międzyszkolne festiwale teatralne cieszyły się autentycznym zainteresowaniem nie tylko młodzieży.

Żeby rzecz długą uczynić krótką: moja Pani Profesor skontaktowała mnie z pracującym wówczas w Teatrze Polskim Jerzym Schejbalem (znali się z czasów studenckich), który pomógł mi przygotować się do szkoły. W 1974 roku zdałam do PWST w Krakowie.

Po studiach pierwszą propozycję pracy otrzymałam od Krystyny Skuszanki, dyrektor Teatru im. Słowackiego w Krakowie. Zrezygnowałam z niej, bo – ambitnie – całą grupą, chcieliśmy zaangażować się u Bogdana Hussakowskiego w Opolu. Hussakowski jednakże chciał przyjąć jedynie część grupy – więc równie ambitnie – odmówiliśmy.
Dostałam wreszcie zaproszenie od dyrektora Krzysztofa Rościszewskiego z Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach, abym zagrała Ofelię w *Hamlecie*. Uznałam, że trzeba się z tym zmierzyć. Poza tym Rościszewski to bardzo ciekawy człowiek. Nie uśmiechał się, nie kokietował, był bardzo konkretny – to mi się w nim bardzo podobało i budziło moje zaufanie. Zaangażowałam się do Katowic, a po roku przeszłam z Rościszewskim do Olsztyna.

Pracowałam pod jego dyrekcją w Olsztynie cztery lata – zagrałam tam czternaście dużych ról. To była scena, na której rzeczywiście uczyłam się teatru. Po czterech latach zrozumiałam, że czas zmienić miejsce, jeśli chcę się uczyć dalej.

Do Poznania wrócić nie chciałam. Było za wcześnie na powrót. Szukałam jakiegoś sensownego – z mojego punktu widzenia – teatru na mapie Polski. Ale jedynym teatrem, który mnie naprawdę interesował, był teatr Izabelli Cywińskiej... w Poznaniu. Najważniejsze w nim było dla mnie to, że był teatrem zespołowym. Teatry gwiazd nigdy mnie nie interesowały. Zadzwoniłam do dyrektor Cywińskiej. Odmówiła. Zaryzykowałam niespodziewany przyjazd do Poznania i... dostałam angaż.
W 1983 roku wróciłam do mojego miasta i ciągle tu jestem.
W 1985 roku urodził się mój syn. Miałam dookoła siebie rodzinę i fantastycznych ludzi, którzy mi pomagali. Teraz Marcin jest już dorosły, też jest aktorem i bardzo się cieszę, że robi to, co chce robić, i że ma w sobie ciekawość tego zawodu.

Liczne przeprowadzki, podróże po teatrach, powroty... To do pewnego momentu wyznaczało moje życie. Teatr... Od jakiegoś czasu inaczej postrzegam pewne okoliczności, zmienia się moja hierarchia ważności. Wierzę, że jest jeszcze parę istotnych rzeczy, z którymi przyjdzie mi się zmierzyć; że żyjemy w całym mnóstwie światów równoległych, które mają na nas wpływ.

Pusta, cicha, ciemna scena może być jedną z bram do tych światów. Jest naprawdę niezwykła. Jest jak Kosmos. Ma ogromny potencjał, jest nieprzewidywalna... I oddycha.

sława KWAŚNIEWSKA

Jestem z Krakowa. Ojciec pochodził z podkrakowskiej wsi – Krzysztoforzyc, mama z Podhala – ze Stryszawy. Pracowali w Krakowie, tam się poznali, pobrali i tam myśmy się z siostrą urodziły. Jak każde dziecko, chciałam być artystką. Przed wojną nie było przedszkoli, tylko ochronki, chodziłam do szarytek, bardzo tam było pięknie, wciąż robiliśmy jakieś przedstawienia. Byłam tam za pierwszą gwiazdę, brylowałam i wszystko grałam: króla Heroda, anioła, diabła...

Potem w szkole mogłam rozwijać swoje umiejętności. Byłam dobra z polskiego, dobrze mówiłam wierszem. Wobec tego wybierano mnie też do udziału w różnych akademiach. Jedną pamiętam szczególnie – w pierwszą rocznicę śmierci marszałka Piłsudskiego, kiedy byłam w drugiej klasie, w Filharmonii Krakowskiej odbywała się duża akademia ku czci. Zostałam wtedy wybrana i mówiłam życiorys marszałka przed całym niemal Krakowem. Wystąpiłam jako jedyna uczennica z Krakowa. Byłam z tego bardzo dumna. Nigdy tego nie zapomnę jeszcze z jednego powodu. Miałam wtedy mundurek, bo wtedy się takie nosiło, ale do tego miałam żółte buty, bo nie było czarnych, niestety. To było na pewno okropne. Bardzo to przebolałam.

Egzamin do szkoły teatralnej zdawałam w tajemnicy przed mamą. Bałam się jej nawet powiedzieć, że zdałam i że zostałam przyjęta. Zwierzyłam się najpierw koleżance, która powiedziała swojej mamie, a ta przekazała to mojej mamie. Okazało się, że mama była bardzo zadowolona. Nie miałam żadnych problemów, bardzo mnie wspierała.
W czasie szkoły dużo grałam w teatrach krakowskich. Bardzo nas do tego zachęcano. Nie ukrywam, że było to ważne także z powodów finansowych – z tego się utrzymywaliśmy. Bronisław Dąbrowski, który był wtedy dyrektorem Teatru Słowackiego, powiedział mi, że powinnam zostać w Krakowie, ale że młodych aktorek pełno, a bez sensu jest przez cały sezon chodzić po scenie z tacą, więc lepiej jednak wyjechać. Wysłał mnie do Częstochowy, zapowiedział, że będzie tam reżyserował i że po roku mnie ściągnie z powrotem. Rzeczywiście, zaproponował mi angaż, ale ja przez ten czas zdążyłam się zakochać, wyjść za mąż... I o żadnym wracaniu nie było już mowy.
Potem pojechaliśmy do Warszawy, bo tam męża przeniesiono (zaangażowałam się w Teatrze Wojska Polskiego). Potem pierwsze dziecko, potem drugie dziecko. Źle mi było w tej Warszawie, tam się zaczęły konflikty. Wróciliśmy do Częstochowy. I jak wyszłam tam za mąż, tak się po siedmiu latach prędziutko rozwiodłam.
Po rozwodzie wyjechałam do Sosnowca. A po trzech latach – Zielona Góra. Do Poznania przyjechałam z Zielonej Góry z grupą aktorów. Wtedy dyrekcję teatru tutaj obejmował Marek Okopiński, który wcześniej prowadził Teatr Lubuski w Zielonej Górze. Zabrał nas, taką silną grupę młodych ludzi, ze sobą. Moja rodzina też się tutaj zadomowiła.

Przez tyle lat zagrałam mnóstwo ról. Niektórych już się nie pamięta. Ale jedna utkwiła mi w pamięci. Była to sztuka Samuela Becketta *Nie ja*. Reżyserował i tłumaczył ją Antoni Libera. Inaczej nazywało się to *Usta*. Na scenie była pusta, czarna przestrzeń. Widoczne było tylko zdjęcie moich ust, zrobione pod dużą soczewką. Były wielkie, czerwone. To był długi, dwudziestoparominutowy monolog. Trzeba było mówić szalenie szybko i bardzo wyraziście. Uczyliśmy się tego długo, bo to bardzo trudna składnia. Pamiętam, że ten tekst mnie poraził na premierze. Dostałam jakiegoś paraliżu. Stałam na wysokim podeście, na który musiałam wchodzić po drabinie. Podobno robiło to szalone wrażenie, bo w tych ciemnościach, jak się patrzyło na te usta, to one wszędzie biegały. Widzowie tak to odbierali. Po prostu niesamowite. Jak skończyłam, po prostu upadłam, ręce mi się trzęsły, nie mogłam ich rozprostować. Musieli wezwać lekarza, zdjęli mnie stamtąd, dostałam zastrzyk. Pamiętam to, bo było to naprawdę moje głębokie przeżycie.

Film jest zupełnie inną sztuką. Tam wszystko robi się po kawałku, po ujęciu. Potem składa się to w całość. Film wymaga natychmiastowej gotowości. Nie idzie to chronologicznie. Nie ma logicznego ciągu. Może przy dużych rolach. Ja nigdy nie grałam dużej roli, były one znaczące, ale nie ogromne.

W Teatrze Nowym zaczynaliśmy z wielkim entuzjazmem praktycznie od remontu, odgruzowywania i to własnymi rękami. Dawaliśmy wtedy trzy premiery. Myśmy sobie ten nasz teatralny dom zbudowali. Czuliśmy się tutaj rzeczywiście jak w domu.

Wszystko zależy od ludzi, którzy pracują w teatrze. Ja miałam to szczęście, że gdziekolwiek pracowałam, zawsze spotykałam fantastycznych ludzi. Ale prawdę powiedziawszy za Izy Cywińskiej w Teatrze Nowym panowała prawdziwie rodzinna atmosfera. Można było przyjść na próbę, poobserwować, porozmawiać z kolegami, którzy próbowali, coś im podpowiedzieć...

Najbardziej lubię wstać rano i iść na próbę. Uwielbiam próby, bardziej nawet niż spektakle. Na próbach jest szukanie, sprawdzanie, ciągle coś nowego... Jeśli nie mam próby, to nic mi się nie chce, nawet wstać.
Mam rodzinę – to bardzo ważne. Ale ja jestem samotnik. Lubię spotykać się z ludźmi, których naprawdę lubię. I mam takich ludzi. Jestem szczęśliwa. Bardzo.

oksana PRYJMAK

Ukraina, małe miasteczko przy granicy od połowy lat osiemdziesiątych żyło w przekonaniu, że temu małemu brzdącowi, który od dnia swoich narodzin darł się wnieboqłosy pisana jest scena. Taki głos nie mógł się zmarnować na urzędniczej posadzie. Nauczyciele w szkole do dziś wspominają, że "była taka jedna, co brała udział we wszystkich próbach i akademiach. Byleby uniknąć sprawdzianu..."

Od najmłodszych lat marzyłam o wyjeździe na Zachód, do oddalonej o... 15 kilometrów Polski. Potrafiłam wpaść w histerię na wieść, że mój starszy brat przekroczył upragnioną granicę i widział "szklane domy". Tego było za wiele. Wstąpiłam w szeregi "Mościskich Słowików", często występującego w Polsce dziecięcego chóru przy Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Nie wiedziałam jeszcze, że kilka lat później osiądę w Poznaniu, słowiczej kolebce. Całymi dniami uczyłam się języka czytając po polsku *Tomka na tropach Yeti* i odkładałam pieniądze na wyjazd, zarabiając śpiewaniem hitów radzieckiej estrady w lokalnej restauracji "Marzenie".

Wreszcie udało się! Prawie... Kilka dni przed wyjazdem, gdy wracałam z koncertu, skradziono mi paszport z wizą. Pomógł brat, który odnalazł zgubę przeszukując w deszczu na kolanach okoliczne krzaki.

Studia na Wydziale Historii nie były szczytem moich marzeń, ale pozwoliły do perfekcji opanować studencką sztukę kulinarną. Do dzisiaj jestem niekwestionowanym mistrzem w przyqotowywaniu ziemniaków na tysiąc sposobów. W duszy ciągle marzyłam jednak o scenie. Nie widząc przyszłości w zawodzie historyka, chcąc jednocześnie zachować zdobyte stypendium ministerialne, stanęłam przed komisją egzaminującą kandydatów do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Słynne *Oczy czarne* (tyle razy ćwiczone w "Marzeniu") dały mi przepustkę do upragnionego zawodu.

Nie spodziewałam się, że podczas studiów przyjdzie mi ćwiczyć niemal równoległe partie św. Faustyny oraz striptizerki ale – cudem uniknąwszy schizofrenii – i te trudności udało się pokonać. Zadebiutowałam rolą Peggy Sawyer w Gliwickim Teatrze Muzycznym, w *42 ulicy* – klasycznej opowieści w stylu "american dream", opisującej losy młodej dziewczyny marzącej o wielkiej karierze na Broadwayu.

Gliwice były pierwszym krokiem na mojej drodze do aktorskiej ziemi obiecanej, którą jest poznański Teatr Nowy. Każda kolejna rola zbliżała mnie do stolicy Wielkopolski. Główna partia w musicalu *Spin* w Teatrze Rozrywki w Chorzowie, czarnoskóra Sarah oraz Evelyn Nesbit w niezapomnianym *Ragtime* w Teatrze w Gliwicach i wreszcie Szuma w spektaklu *Summertime* przygotowanym w Teatrze w Kaliszu. A, że nic w moim życiu nie jest proste ani oczywiste, gdy stanęłam w progu Teatru Nowego historia zatoczyła koło i obsadzono mnie w przygotowanym już w Krakowie *Śnie nocy letniej* w reżyserii Wojciecha Kościelniaka...

W ten oto sposób rozpoczął się mój poznański etap życia... Oby trwał jak najdłużej!

antonina CHOROSZY

Niektórzy od dziecka wiedzą, że mają "to coś" i że muszą tym podzielić się z innymi. W moim przypadku było tak, że wszyscy inni widzieli we mnie "to coś", ale ja tego nie dostrzegałam. Nie byłam dzieckiem, które lubi mówić wierszyki. Lubiłam biegać po łąkach i śpiewać, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, że muszę to kiedyś komuś dać. Dopiero szkoła podstawowa wymusiła na mnie uczenie się wierszyków i publiczne recytowanie ich. Nie lubiłam tego. Jednak co jakiś czas, ktoś mówił do mnie, że powinnam być aktorką. Jako dzieciak nie wiedziałam za bardzo kim jest aktor i z czym ta praca się wiąże. W piątej czy szóstej klasie szkoły podstawowej spotkałam Elżbietę Ilnicką, reżyserkę z Wrocławskiego Teatru Lalek, która prowadziła z nami warsztaty w Domu Kultury. Na zajęcia chodziłam dla towarzystwa, tylko dlatego, że koleżanki chodziły. Ale ona kiedyś do mnie podeszła i powiedziała, że muszę koniecznie skończyć szkołę podstawową, koniecznie zdać maturę i zdawać do szkoły teatralnej. Czułam się wyróżniona, ale jako nastolatka robiłam wszystko, żeby nie zrealizować tego "proroctwa". W ogólniaku nigdy nie lubiłam akademii, recytowania wierszy. Bardzo mnie to stresowało. Z drugiej strony pokochałam teatr przez moją wspaniałą polonistkę. Profesor Wodecka jeździła z nami po całej Polsce. Ja jestem Wrocławianką, wychowałam się na Teatrze Współczesnym Brauna, Grzegorzewskiego. Oglądałam Teatr Polski z lat osiemdziesiątych i kochałam go. Pani profesor zabierała nas np. "na Dejmka" do Warszawy, pamiętam też Axera *Kurkę wodną* — nic nie rozumiałam, ale bardzo mi się podobało...

I tak wyglądała moja edukacja teatralna. Nigdy nie widziałam siebie z tej strony kurtyny, po której się teraz znajduję, ale — mimo wszystko — miałam ciągoty twórcze. Jestem technikiem kosmetykiem, skończyłam szkołę kosmetyczną, pracowałam nawet jako kosmetyczka. Miałam w sobie potrzebę kreowania, malowania twarzy. Zatrudniłam się więc jako charakteryzatorka we wrocławskiej telewizji. Tam znów spotkałam aktorów. Każdy, który siadał na fotelu charakteryzatorskim pytał "Czy nie chciałabyś zostać aktorką?". Trochę nieszczerze zaprzeczałam. Ciągle jednak mi mówili o tych moich predyspozycjach do aktorstwa. Skąd wiedzieli? Przecież mówiłam tylko "proszę zamknąć oczy", "proszę otworzyć oczy".

Definitywnie namówiła mnie do szkoły aktorskiej moja najwspanialsza pani profesor — Iga Mayr, która nauczyła mnie prawie wszystkiego, co potrafię do tej pory. Zdecydowałam się. W zawodzie, który wykonywałam, nie potrafiłam już sama się rozwijać, nie miałam mistrzów, zaczynało mi się najzwyczajniej nudzić. To były lata osiemdziesiąte, mało perspektyw było przede mną jako charakteryzatorką.
Do egzaminów przygotowywałam się sama i zdałam. Miałam wtedy skończone 21 lat — przekroczony limit wieku, więc musiałam napisać osobne podanie.

Szkołę skończyłam z trudem, bo aktorstwo jest zawodem zespołowym, a w szkole każdy jest indywidualnością. Nie mogłam zgrać się z grupą, a ona ze mną. Jak się potem dowiedziałam, jako jedyna w historii szkoły nie zostałam "ofuksowana". Kiedy zobaczyłam, że "fuksówka" przekracza granice ludzkiej godności powiedziałam, że nie biorę w tym udziału. Cała grupa się ode mnie odwróciła. Pierwszy rok był więc niezwykle trudny, ale skończyłam go z nadzieją, że drugi będzie lepszy. Nie był. Zamierzałam rzucić studia. Krzesisławie Dubielównej, która była wówczas dziekanem, powiedziałam "że takiego siedliska zła, wcześniej nie widziałam". Za jej namową wzięłam urlop dziekański.

W tym czasie wiele wydarzyło się w moim życiu osobistym. Kiedy wróciłam po roku do szkoły, problemy, które tam na mnie czekały, były niczym. Nabrałam dystansu, dojrzałam. Trafiłam na cudownych ludzi, jeszcze młodszych, ale czułam, że to byli moi ludzie. Na trzecim roku Eugeniusz Korin zaproponował mi zrobienie dyplomu na poznańskiej scenie, w Teatrze Nowym. Wtedy wszyscy moi koledzy marzyli o tym, ale ja chciałam zostać z nimi i robić dyplom w szkole. Jednak zdałam sobie sprawę, że to jest dla mnie wyróżnienie. Poza tym bardzo lubiłam twórczość Korina. Tak trafiłam do Poznania.

Zadebiutowałam rolą Jadzi w *Świat się zmienia czyli Polityka* Perzyńskiego, to był pierwszy dyplom. Drugim miał być *Król Lear*, z rolą Goneryli. Dużo pracowałam, grałam wiele zastępstw, wiele epizodów, miałam około czterech premier w sezonie. Uczyłam się na błędach. Nie zastanawiałam się nad tym, czy to jest właściwe miejsce, czy to jest moje miejsce.

Czasami udaje się coś powiedzieć w trzech zdaniach, a czasami wydaje się, że człowiek mógłby opowiadać i opowiadać i nie jest w stanie wszystkiego powiedzieć i nazwać do końca... Sposób patrzenia na nasz zawód zmienia się z wiekiem. Jak jest się bardzo młodym, to nie ma się świadomości, na co się człowiek zdecydował. Wybór aktorstwa, jako drogi życiowej wynika najczęściej z jakiejś wewnętrznej pasji tworzenia, istnienia w światach równoległych. Dla mnie świat sceny jest światem równoległym do świata realnego. Jest nierealny na co dzień, ale w pewnej chwili, gdy grany jest spektakl – świat tej sceny jest światem jedynym. Z tym, że to jest nasz, czy raczej mój świat. W rzeczywistości równoległej ktoś umiera, rodzi się, tu na ulicy jedzie karetka... Ja jestem w innym świecie, choć mam świadomość otaczającej mnie "prawdziwej" rzeczywistości. To jest fenomenalne w tym naszym zawodzie, że tworzymy 1:1 świat, który jest jedynym, ale przy świadomości istnienia równoległych innych światów.

Kiedy zdawałam do szkoły teatralnej, to nie do końca wiedziałam na co się porywam. To jest jednak szalenie trudna praca, szalenie... Z każdym kolejnym rokiem nabieramy kolejnych doświadczeń życiowych. Niektórym z nas rodzą się dzieci, bliscy umierają. To wpływa również na nas, jak gąbka chłoniemy to, co dzieje się w naszym codziennym życiu. W sposób naturalny też się starzejemy, przechodzimy pewną drogę. Każdy aktor na tej drodze przechodzi przez pewne metamorfozy, nawet jeśli tego sobie nie uświadamia. Gdybym miała teraz zdecydować, czy chcę zostać aktorką, powiedziałabym: nie.

Chciałabym być malarką. Malarstwo daje możliwość samotnego tworzenia. Chociaż tworzy się dla drugiego człowieka, to odbywa się to przez indywidualność, odrębność, samotność i wolność. Aktorstwo również ma możliwość indywidualnej wypowiedzi, ale jest tworzeniem kolektywnym, nie można być odrębnym ciałem na scenie. Nawet jeśli gra się monodram, to ciągle pozostaje się w nierozerwalnym związku z całą techniką, która nas otacza i – oczywiście – z widzem, który jest żywym człowiekiem. Jest w tym jakiś rodzaj presji, pojawia się wewnętrzny przymus, żeby zdać ten egzamin i być każdego wieczora, w każdym spektaklu uczciwym. Jest to rodzaj przymusowej determinacji. Przecież – jak wszyscy ludzie – mamy takie dni, kiedy nie chcemy wyjść z dziupli, chcemy zostać w cieniu... Po prostu: ktoś przyszedł do nas w nocy we śnie i powiedział coś dotkliwego, coś prawdziwego lub poruszającego. A my musimy odciąć wszystko, wymazać i wejść w świat reżysera, który zaprosił nas do pracy. Ta równoległość światów wymaga żelaznej samodyscypliny. Nie mogę myśleć o tym, co mi się przydarzyło, bo to nie powinno nikogo dotyczyć, tylko mnie.

Teatr wymaga ogromnej dyscypliny. A ja od dziecka mam ogromną potrzebę poczucia wolności i niezależności. Po dwudziestu latach wiem, że teatr nie jest miejscem do realizacji tego poczucia.

W teatrze bardzo lubię próby, to jest akt tworzenia. Podczas spektaklu jest trochę inaczej, zachodzi inny proces komunikacji. To jest trudny świat. Zawsze zazdrościłam reżyserowi, scenografowi, kompozytorowi – twórcy zrobią spektakl i wyjadą, a my, aktorzy, z nim zostaniemy, wieczór w wieczór. Jeśli to kochamy, to jest cudownie, a jeśli nie – to jest to jak przekleństwo...

dorota ABBE

Urodziłam się w Poznaniu. Tutaj zaczyna się moja teatralna droga. Rozpoczęłam ją w... Teatrze Nowym. Mój ojciec pracował tu przez kilkanaście lat. Tutaj zaraziłam się teatrem.

Jak miałam może cztery lata, "zagrałam" po raz pierwszy razem z moim ojcem w *Antygonie*. Tata grał ślepca Terezjasza, a ja go wprowadzałam na scenę. Pamiętam, że podczas spektaklu kucałam sobie w kąciku sceny i bawiłam się czymś w rodzaju piasku, czy jakiejś miękkiej materii, nie pamiętam dokładnie co to było. Takie jest moje pierwsze wspomnienie z teatru.

Poważniejsze doświadczenie aktorskie przeżyłam w Grudziądzu. Wyjechaliśmy tam na rok, ojciec dograwał sobie do emerytury, a ja miałam okazję zagrać Małą Mi w *Muminkach*. To był mój "pełnometrażowy" debiut. Miałam wtedy sześć lat.

Na etapie podstawówki artystyczne doświadczenia zdobywałam raczej poza szkołą. Moja mama była instruktorem teatralnym, a ja często grywałam w spektaklach, które reżyserowała.

Na początku liceum z koleżankami miałyśmy taki zespół, który był fanklubem poznańskich teatrów i poznańskich aktorów. Oglądałyśmy wszystko i na zabój kochałyśmy się w aktorach. Na Dzień Teatru zrobiłyśmy dwa razy przedstawienia, które były parodią różnych spektakli, granych wówczas w Poznaniu. Zapraszałyśmy aktorów, niektórzy do teraz to pamiętają!

W liceum, z dwiema przyjaciółkami "obsługiwałyśmy" wszelkie akademie. Szkoła dawała nam wtedy wolną rękę, same robiłyśmy programy na każdą okazję, byłyśmy zwolnione z lekcji, zamykałyśmy się w auli i tworzyłyśmy. Wszystkie trzy zostałyśmy później aktorkami.

Do szkoły teatralnej dostałam się dopiero za czwartym razem. Pomiędzy egzaminami ukończyłam Nauczycielskie Kolegium Języka Francuskiego w Poznaniu, a potem – już po szkole teatralnej – studia filologiczne. Papiery składałam jeszcze na sinologię, japonistykę i polonistykę (języki zawsze były moim hobby). Skończyłam jednak romanistykę i parę razy to mi się w życiu przydało.

Od dziecka wiedziałam, że aktorstwo to jest to, co chcę robić. Szkoła teatralna i praca w teatrze tylko to potwierdziły. Teatr pozwala spełnić się na wielu płaszczyznach, dotyka psychiki, ciała, umysłu. Nie ma drugiego zawodu, w którym te elementy tak doskonale się łączą.

Dzięki teatrowi odnalazłam moją miłość, mojego męża, z którym jestem już od dwunastu lat. We Wrocławiu zagrałam Julię w *Romeo i Julii* w reżyserii Rimasa Tuminasa. Mój obecny małżonek zakochał się wtedy we mnie na premierze studenckiej.

Szkołę teatralną skończyłam w Łodzi. Nigdy nie myślałam o tej szkole, bo ciągnął mnie wyłącznie teatr, a to jednak filmówka. Była ostatnią, do której zdawałam. Nie lubiłam Łodzi, zawsze brakowało mi tam przestrzeni – rzeki, zieleni, powietrza, takich rzeczy, które na co dzień są potrzebne, żeby odetchnąć. Po Łodzi bardzo chciałam znaleźć się w takim miejscu, gdzie to wszystko jest i gdzie mogłabym grać. Trafiłam do Bielska-Białej, a po kilku miesiącach odezwała się do mnie Krystyna Meissner z propozycją roli. Dostałam angaż we Wrocławiu. W Teatrze Współczesnym zostałam 10 lat. Potem nastąpił krótki "okres warszawski", który niechętnie wspominam i niespodziewany powrót do Poznania. Często mnie pytają, jak się tu czuję. Czuję się dobrze i bezpiecznie, jak w domu, ale jestem innym człowiekiem na innym etapie życiowym, niż wtedy, kiedy miałam kilkanaście lat. I z pasją oraz ciekawością otwieram się na wyzwania, jakie przyniesie mi ten powtórny "okres poznański".

hanna KUJAWIAK

Urodziłam się w Poznaniu. Najwyraźniej teatr był moim przeznaczeniem, bo przyszłam na świat 27 marca, w Dzień Teatru. Nie mam w rodzinie tradycji artystycznych. Właściwie nawet nie pamiętam pierwszego kontaktu z żywym teatrem. Nie miewałam też szkolnych przygód z przedstawieniami amatorskimi. Może poza jednym wyjątkiem. Grałam Świteziankę w szkolnym spektaklu. Ale zupełnie nie mogę sobie przypomnieć z jakiej to było okazji.

W szkole nie marzyłam o teatrze. Chciałam zostać geografem. A właściwie to glacjologiem i wyjechać na Antarktydę. To dziwne, bo jestem bardzo ciepłolubna, ale Antarktyda mnie zawsze fascynowała. Czytałam wszystko, co udało się na ten temat zdobyć.

Do Teatru Nowego zaczęłam chodzić jako nastolatka. Pierwszy raz zabrała mnie tu babcia. Na komedię. W repertuarze jednak nastąpiła zmiana i obejrzałam spektakl, którego zupełnie nie zrozumiałam... Najwyraźniej mnie to nie zniechęciło, bo nadal bywałam w teatrze, uczestniczyłam w spotkaniach organizowanych przez Milana Kwiatkowskiego i starałam się poznać teatr także od strony zaplecza. Pamiętam szczególnie jedną taką wycieczkę, gdy wraz z grupą młodzieży znalazłam się na scenie, a jeden z aktorów kończących właśnie próbę nawrzeszczał na nas. "Nie wchodzić na scenę w butach! Bo wam nogi z d... powyrywam!" – tak krzyczał.

Od tego momentu często bywałam w teatrze, choć bardziej mnie wówczas porywał Teatr Telewizji. Lubiłam oglądać te poniedziałkowe spektakle.

Pierwsze trzy lata w Teatrze Nowym spędziłam jako magazynierka, nie inspicjent. W pokoju, w którym obecnie mieści się Dział Literacki, było składowisko wszelkiego rodzaju materiałów, głównie biurowych i ledwo się w nim mieściło moje biurko. Siedziałam twarzą do ściany...

Z tym magazynem kojarzy mi się taka zabawna sytuacja. To był okres, gdy obowiązywały kartki żywnościowe. Postanowiłam więc wykorzystać fakt, że jestem "pracownikiem fizycznym" i poprosiłam dyrektora o kartki z większym przydziałem. Dyrektor zaś stwierdził, że ponieważ jestem kierownikiem, to większy przydział mi się nie należy. Zaatakowałam więc z drugiej strony: poprosiłam o dodatek funkcyjny z tytułu mojego "kierownictwa". I tu znów rozczarowanie: dyrektor odmówił twierdząc, że nie należy mi się, bo nie mam pracowników. Moja batalia niewielkie przyniosła rezultaty...

Cały czas czekałam jednak na swoją szansę. Kiedy tylko była taka możliwość podglądałam pracę kolegów. Coraz bardziej chciałam być inspicjentem. Uciekałam z tego mojego magazynu i starałam się "przydać" gdzieś tam, przy scenie. I w końcu się doczekałam. Moja pierwsza sztuka to był *Narzeczony Beaty*. Prowadziłam spektakl po raz pierwszy i to było właśnie to, co mi się podobało. Kiedy osiągnęłam cel, życie upomniało się o swoje prawa. Wyszłam za mąż, urodziłam dzieci. Musiałam na pewien czas przerwać pracę w teatrze. Ale wróciłam.

Jedynym problemem w pracy inspicjenta jest ten cholerny pulpit! W moim teatrze już się do niego przyzwyczaiłam. Jest, jaki jest. Ale podczas wszystkich wyjazdów, to prawdziwa męka. Szczerze mówiąc nigdy nie wiem, czy taki "obcy" pulpit w ogóle działa...

To, co lubię w mojej pracy najbardziej, to moment, kiedy aktorzy czytają tekst na pierwszej próbie. Niezwykła jest ta świadomość, że na końcu tej drogi, która się właśnie rozpoczyna, znajdzie się coś zupełnie niespodziewanego, coś, czego nie można przewidzieć po pierwszym czytaniu egzemplarza. Podczas prób okazuje się, że każde zdanie może mieć tak wiele znaczeń! Każde słowo można tak różnie interpretować. Żałuję czasem, że nikt nie czyta w taki właśnie teatralny, analityczny sposób książek... Kocham próby. Są dla mnie ciekawsze niż przedstawienia. Największą radość daje mi śledzenie procesu powstawania spektaklu, wsłuchiwanie się w dyskusje, obserwowanie dylematów.

Nigdy mi się nie marzyła scena. Nie chciałam być aktorką. I nadal nie chcę. Występy sceniczne dotąd mnie omijały. Albo ja je omijałam szerokim łukiem. Raz mi się zdarzyło, że musiałam zastąpić statystę. Strasznie się wówczas denerwowałam, choć kostium był taki, że zupełnie nie było mnie widać.

Lubię mieć odrobinę teatru w domu. W korytarzu powiesiłam plakaty. To pierwsza rzecz, jaką widać, gdy wchodzi się do mojego mieszkania. W sypialni natomiast powiesiłam plakat z *Rutherforda*. Trochę za wielki był, musiałam przyciąć...

Czego się najbardziej boję w teatrze? Tego, że kiedyś o czymś zapomnę...

natalia DRAGANIK

Pochodzę z Rzeszowa. Tańczyć chciałam zawsze. Kiedy miałam siedem lat, tata zaprowadził mnie na spotkanie z Bogusławem Kaczyńskim opowiadającym o balecie i od razu absolutnie straciłam dla tańca głowę.

Kiedy w moim mieście powstała prywatna szkoła baletowa, założona przez tancerkę z Moskwy, stwierdziłam, że muszę koniecznie w niej się znaleźć. Miałam 12 lat i byłam starsza od wszystkich dziewczynek. Debiut sceniczny – walc z *Jeziora łabędziego*. Miałam tam bardzo odpowiedzialną rolę – dwie minuty na puentach. To było ogromne przeżycie. Miałam na sobie tiulową spódniczkę zrobioną z krochmalonej firanki, bo w sklepach nie było wtedy absolutnie nic. Starałam się najlepiej jak mogłam odtańczyć swoją solówkę. Godzinami szlifowałam te dwie minuty na puentach...

Taniec jednak nie był moją pierwszą pasją. Pierwszą miłością było pływanie, które zaczęłam trenować jak miałam cztery lata. Trenowałam do dziesiątego roku życia. Potem rodzice zapisali mnie do szkoły muzycznej, która była trudnym doświadczeniem dla dziecka, które nie może usiedzieć na miejscu. Godziny ćwiczeń przy instrumencie były dla mnie istną katorgą, więc szkółka baletowa była wybawieniem i jednocześnie małą zemstą.

W domu rodzinnym tata grał na skrzypcach, mama na fortepianie. Potem oboje związali się z zawodem kompletnie nieartystycznym. Ciekawostką jest jednakże, że tata w dzieciństwie uczęszczał do kółka baletowego. Myślę, że jego marzeniem było kontynuowanie przeze mnie rodzinnej tradycji czyli studia prawnicze i przejęcie po nim kancelarii. Ale nie protestował, kiedy powiedziałam, że chcę rzucić wszystko i zostać baletnicą. W milczący sposób aprobował mój wybór i wspierał we wszystkim. Z mamą było trudniej. Chciała, żebym była pianistką. Moja decyzja najbardziej jednak poruszyła babcię. Była zrozpaczona. Bo jak to, dziewczyna z porządnego galicyjskiego domu zostanie jakąś tam komediantką, zamiast wybrać jakiś porządny prawniczy czy inżynierski zawód!

Zawsze pracowałam w reżimie, dlatego też odejście z domu do szkoły baletowej w Łodzi nie było dla mnie niczym szczególnym. Balet był tak fascynujący, że w tamtym czasie dla tańca zrobiłabym wiele. Tęskniłam za tatą, ale taniec był przez długie lata na pierwszym miejscu.

Miewałam kryzysy, chwile zwątpienia, ale chyba nigdy nie pomyślałam na serio, że mogłabym funkcjonować nie tańcząc. W moim zawodzie plusem i jednocześnie minusem jest nakład pracy. Plusem jest to, że w tym zawodzie, żeby coś osiągnąć trzeba się ciężko napracować. Jest to wartość sama w sobie. Z drugiej strony jest to zawód, który nie znosi konkurencji. Nie wytrzymuje żadnego innego zajęcia, więc jeśli chce się mieć rodzinę, hobby czy w ogóle życie poza tańcem, to trzeba wybrać, co będzie na pierwszym miejscu. Ja jednak znalazłam hobby. To wspinaczka. Od dwóch lat jest moją kolejną miłością. Zaraz po nartach. O! Może zostałabym alpinistką, gdybym nie była tancerką... Wspinanie, pływanie, narty i – od niedawna – rodzina, to wypełnia moje życie poza tańcem.

Mój zawodowy debiut odbył się w Operze Krakowskiej. Potem jeździłam po różnych teatrach tańca, po całej Polsce. Odeszłam z baletu i związałam się z tańcem współczesnym. Decyzja ta wynikała ze specyficznej sytuacji. W latach dziewięćdziesiątych scena tańca współczesnego w Polsce dopiero się kształtowała. Z dużym bólem i w dużych cierpieniach. Na tyle na ile mogłam, brałam udział w spektaklach teatru tańca. Śląski Teatr Tańca, TOK w Krakowie to są takie miejsca inicjacji.

Dlaczego odeszłam z baletu? Bo w pewnym momencie zrozumiałam, że to nie moja droga. W pewnym momencie, nawet nie moje ciało, ale mój umysł, powiedział "O nie, dłużej nie dam rady". Nie utożsamiałam się z tym co robię na scenie, czułam się absolutnie obco. Z natury jestem zdecydowana, dynamiczna i trudno mi było wejść w ten kanon eterycznej, subtelnej, delikatnej baleriny, która na jednej nodze wymachuje puentą w powietrzu. Moja osobowość i moja fizyczność podyktowały ten odwrót.

Zaczęły mnie interesować nowe rzeczy w ruchu. Bardziej niż eteryczność pociąga mnie fizyczność. Bardziej grawitacja niż jej zaprzeczenie. Bardziej współpraca z ciałem na zasadzie wiecznych kompromisów niż dominacja. Bardziej droga niż sam cel. Zaczęłam rozumieć fizykę, chociaż w szkole przedmioty ścisłe były dla mnie czarną magią. Nigdy nie rozumiałam matematyki, fizyki. A kiedy zaczęłam zajmować się ruchem fizycznym, jednocześnie zrozumiałam o co chodzi w naukach ścisłych. W niewielkim procencie, ale zawsze... Po prostu zaczęłam przekładać teorię na praktykę.

Choreografia zaczęła się od spotkania z Joanną Leśnierowską. To ona mnie zachęciła. Zrobiłyśmy pierwszy wspólny spektakl. To była dość spontaniczna decyzja.

Przypadkiem – lub może bardziej kolejnym krokiem w poszukiwaniach - jest praca w teatrze dramatycznym. Pierwszym reżyserem, który zaproponował mi pracę przy spektaklu był Piotr Kruszczyński, który zobaczył mnie na scenie w spektaklu Mikołaja Mikołajczyka. Po tym spotkaniu zrobiliśmy razem *Walizkę*. To była pierwsza przygoda, na tyle interesująca, że chciałam ją kontynuować. W teatrze dramatycznym podoba mi się jego inność i zmienność. To jest inny język, inne środki, inne myślenie. Inny rodzaj pracy. Inne podejście do ruchu. Na szczęście w tej chwili ruch nie pełni już funkcji służebnej stosunku do tekstu. I to wydaje mi się interesujące i inspirujące. Bo wierzę, że teatr to synteza różnych dziedzin sztuki, a nie samotna wyspa.

Nadal jednak uważam taniec za królową sztuk. Brak mi wiedzy i pragnienia, żeby wszystko określić, doprecyzować, ująć w słowa, dogmaty i teorie. Ja chyba po prostu potrzebuję się ruszać. Nie bardzo umiem określić co to jest "taniec", ale wierzę w "ruch". Od niego się wszystko zaczęło.

paweł DAMPC

Urodziłem się w Elblągu. Żadnych tradycji muzycznych w rodzinie. Nie wiem, skąd to się u mnie wzięło. Chociaż... Jakiś czas temu byłem w Elblągu, u rodziny. Rozmawiałem w pokoju z bratem, który też gra. W czasie rozmowy usłyszeliśmy melodię graną na pianinie, niezłą. To babcia grała...

W dzieciństwie nic nie wskazywało na to, że zostanę muzykiem. Owszem, w przedszkolu śpiewałem, zdradzałem nawet oznaki talentu muzycznego, ale brakowało oznak pasji. Nikt w domu nie myślał o szkole muzycznej, szkoła muzyczna znalazła mnie. Pracownicy szkół muzycznych objeżdżali przedszkola i "łowili" potencjalne talenty. Właśnie w ten sposób zostałem wyłapany.

Najpierw była podstawówka, gdzie uczyłem się gry na skrzypcach, później szkoła II stopnia, gdzie miałem do czynienia z trzema instrumentami: altówką, gitarą i kontrabasem. Potem poszedłem do Liceum Ogólnokształcącego i będąc członkiem MDK-u założyłem z przyjaciółmi "Zabawę w ludzi". Był to zespół poezji śpiewanej. Graliśmy co jakiś czas koncerty, braliśmy też udział w konkursach... Wtedy zacząłem komponować. Zespół działał trzy lata, członkowie się zmieniali, ale główny trzon się trzymał.
Postawiłem na muzykę.
Wtedy też coraz częściej zacząłem myśleć o tym, co będzie dalej. Miałem kryzys tożsamości, aż do pewnej... kąpieli. Siedziałem w wannie i myślałem o swoim życiu. Stwierdziłem, że trzeba wrócić do szkoły muzycznej. Następnego dnia w szkole, na lekcji fizyki, oznajmiłem koledze z ławki (teraz jest wykładowcą na Akademii Muzycznej) – "wracamy do muzycznej". I wróciliśmy. Ta kąpiel zadecydowała nie tylko o moim losie!

Pierwsze kroki zawodowe stawiałem w zespole Ryszarda Rynkowskiego. Pracowałem z wieloma wykonawcami: Kasią Skrzynecką, Marylą Rodowicz, Jarkiem Wasikiem, obecnie gram na klawiszach w De Mono.

W teatrze debiutowałem tutaj, w Nowym, w *Kuglarzach i wisielcach* u Satanowskiego. "Satan" był wtedy dla mnie kimś z innego świata, miałem jego płytę, której słuchałem na okrągło. W czasie pracy jednak, nie było czasu na wzruszenia. To była bardzo nerwowa premiera, próby do trzeciej, czwartej rano. Wtedy myślałem, że tak zawsze jest w teatrze. Później przekonałem się, że jednak nie do końca. Wtedy też się zakochałem. W aktorce.

Kiedyś odbywały się w Teatrze Nowym *Zaduszki poetyckie*. Wystąpiłem tam i tak naprawdę to wydarzenie pomogło mi w pełni zadebiutować. Zostałem poproszony o napisanie muzyki do *Pana Jowialskiego* w poznańskim Teatrze Polskim w reżyserii Romana Kordzińskiego. Tak, to był prawdziwy teatralny debiut.

Nie jestem takim typowym kompozytorem teatralnym. W teatrze pracuję głównie z Piotrem Kruszczyńskim. Lubię to robić. Czuję słowo. Lubię taką kooperację muzyki ze słowem. Podobno jest coś takiego w mojej twórczości, że ona się ludziom z czymś kojarzy, komuś kto tego słucha nasuwają się obrazy, ta muzyka nie jest wyabstrahowana, może to stanowi o jej wartości.

Każdą pracę zaczynam od tego, że nic nie umiem. Potem się uczę.

jola
ŁOBACZ

Początek
Ukochanym zajęciem małej Joli było szycie kubraczków dla różowych, plastikowych lalek i burych misiów.

Scena
Chciałam być gwiazdą punk-rocka.
Poza rzępoleniem na gitarze, zaczęłam projektować bardzo dużo bardzo czarnych ciuszków i malować dziwnie twarz. Później odkryłam, że znacznie ciekawsze jest robienie "tego wszystkiego" innym. Zafascynowała mnie scena. Zza kulis.

Teatr
Trafiłam do Opery i tak się zaczęło. Później były pociągi. Do Zielonej Góry, Wrocławia, Paryża, ulubionego Wałbrzyszka, Gdyni. Z psem – ładźką.
Pokochałam teatr, wszystkie te czarodziejskie zakamarki, fabryczkę, maszynkę uruchamiającą spektakle. To jest moje miejsce. Miejsce na ostatnim piętrze mojego teatru w mojej pracowni, wśród kostiumów, peruk, lusterek, światełek mogę wymyślać i bazgrolić co zechcę. Pogryzioną kredką dać kolor kolejnej postaci kolejnego przedstawienia, poklepując psa, trzepiąc łbem i słuchając "Clashów".

Serce
Największym szczęściem jest to, że dane jest mi żyć – pracować z Przyjaciółmi. Dziękuję Losowi. I Tobie Piotrusiu.

mirek KACZMAREK

Sponiewierany przez Dział Literacki Teatru Nowego muszę coś tutaj sklecić literacko, a pisanie o swoich przeżyciach jest nazbyt egzaltowane, o swoich realizacjach nieciekawe, o ideach przyświecających twórczości zbyt monotematyczne, a o obecnym spektaklu bez sensu. Dlatego, że: przeżycia to moja sprawa; realizacje nikogo poza mną i urzędem skarbowym i tak nie interesują; idee już dawno umarły, więc szkoda zachodu. Co prawda tytuł i charakter spektaklu prowokują i skłaniają do podglądactwa, zatem zainteresowanych proszę o kontakt pod adresem: mk@message.pl – nakręcę intymne wideo i nieodpłatnie oraz niezwłocznie wyślę w dowolnym formacie. Na specjalne życzenia – za symboliczną dopłatą – może ono zawierać wątki biograficzne. Czas oczekiwania na taką wysyłkę może wynieść nawet około roku, a potencjalne zgłoszenia będą realizowane w kolejności ich napływania.

W spektaklu najprawdopodobniej nie będzie przerwy, więc istnieje spora szansa, że nikt i tak nie dobrnie do tej strony w programie, choćby dlatego, że w domu zazwyczaj popełnia się dużo ciekawsze rzeczy. Biorąc także pod uwagę słynne poznańskie skąpstwo, czy formułując bardziej politycznie – oszczędność – znaczna część nakładu zostanie zutylizowana bez znaczących strat dla kultury i środowiska. Gdyby ktoś jednak zdecydował się na tak pochopny krok i chciał nabyć powyższą/poniższą publikację, proszę się kilkakrotnie zastanowić, czy nie lepiej dołożyć kilka złotówek na kolejną murawę "nowego" stadionu w Poznaniu. Chociaż porównując żywotność programu z trawą, inwestycja w papier wydaje się być zdecydowanie korzystniejsza.

Pomijając aspekt materialny, jakiekolwiek informacje dotyczące mojej skromnej osoby bez trudu można odnaleźć na portalu e-teatr.pl, stronie autorskiej (mocno już zdezaktualizowanej) czy w szeroko pojętej sieci.

katarzyna MIGDAŁOWSKA

Urodziłam się w małej galicyjskiej miejscowości i wcale nie zamierzałam pracować w teatrze. Tradycji teatralnych w rodzinie nie było żadnych. Ktoś tam malował, ktoś grał na skrzypcach. Nic poważnego jednakże.

Do sceny nigdy mnie nie ciągnęło. Owszem, od przedszkola występowałam w dziecięcych przedstawieniach, ale nie dlatego, że byłam taka utalentowana, ale dlatego, że szybko i bez marudzenia uczyłam się na pamięć dowolnie długiej roli. Regularnie więc przywdziewałam białą kieckę z falbanką i odpracowywałam wszelkie księżniczki. W zerówce zaś zagrałam mamę króliczka. Jak widać w nietypowo młodym wieku zaczęłam grywać matki...

W szkole podstawowej szczęśliwie nie zabawiałam się już w "teatrzyk". Od czasu do czasu tylko swoją pamięcią ratowałam jakąś akademię. Na życie miałam wówczas zupełnie inne plany. Po krótkiej fascynacji gimnastyką sportową, postanowiłam się poświęcić nauce. Miała to być paleontologia, po pewnym namyśle przekształcona w archeologię. Nic oryginalnego, ale "trzymało" mnie to pomiędzy ósmym, a szesnastym rokiem życia.

Puściło, gdy sferę moich zainteresowań niespodziewanie, acz gwałtownie, wdarł się teatr. Nie, nie. Nie zaczęłam amatorsko grywać. Tak dalece mój afekt do teatru nie sięgał. Sceny do dziś boję się panicznie. Ale poczułam siłę tworzenia. Oczywiście lawinę wydarzeń zapoczątkowała polonistka. Tak to już jest bowiem, że polonistki najczęściej wysyłają ludzi do teatru. Nie jestem wyjątkiem.

Mój pierwszy wybryk sceniczny to była *Odprawa posłów greckich*. Tak jakoś renesansowo się zaczęło. Nauczycielka wpadła na pomysł, żebyśmy wystawili sztuczydło. Do dziś nie wiem jak to się stało, że ni z tego ni z owego, stałam się kierowniczką zamieszania. Kategorycznie odrzuciłam zaoferowaną do inscenizacji bieliznę pościelową (ze szczególnym uwzględnieniem prześcieradeł) i zarządziłam "awangardę". Pusta scena, współczesny kostium, takie tam... Polonistka rwała włosy z głowy, ale nie przeszkadzała. Bardzo jej jestem za to wdzięczna.

Po premierze (bo udało się do niej doprowadzić) to już "zamówienia" posypały się obficie. W końcu rok szkolny obfituje w całe mnóstwo uroczystości, które może uświetnić teatrzyk. No to robiliśmy. W gruncie rzeczy to było ciekawsze od nauki i pozwalało się legalnie urwać z fizyki. Dla uspokojenia dodam, że wszyscy nie tylko dobrnęliśmy do matury, ale udało się nam ją zdać całkiem przyzwoicie.

W teatrze bywałam w licealnych czasach dość rzadko. Głównie ze względu na odległość. Ale tym bardziej każda wyprawa do Krakowa, Warszawy czy nawet Rzeszowa była nie lada świętem. Kompletny zawrót głowy powodowały warsztaty artystyczne organizowane dla "uzdolnionych" w Krakowie, podczas zimowych ferii. Po takim tygodniu "życia sztuką wszelką" z trudem powracaliśmy do normalnego życia. I z ulgą. Bo na tych warsztatach nie zawsze udawało mi się wyłgać od aktorskich ćwiczeń. Męka!

Po maturze nie dostałam się na historię sztuki. Postanowiłam przeczekać na kulturoznawstwie. I tak przeczekałam pięć lat... Wybrałam specjalizację teatrologiczną. Stanęłam na początku drogi, która rzadko prowadzi do teatru. Ale moja prowadziła. Bo chociaż – dla porządku – skończyłam także i historię sztuki, to jednak nigdy czynnie jej nie uprawiałam. Podobnie w kąt poszły zdobyte przezornie belferskie uprawnienia.

W "prawdziwym" teatrze zaczęłam jako studentka – od szatni, przedzierania biletów i innych tego rodzaju teatrologicznych zajęć. A potem była zawodowa wędrówka po stanowiskach i teatrach: Łódź, Rzeszów, Wałbrzych, Wrocław, Poznań... Krótko mówiąc, wpadłam po uszy! Teatr zaczął kierować moim życiem. I wciąż nie mam dosyć.

piotr KRUSZCZYŃSKI

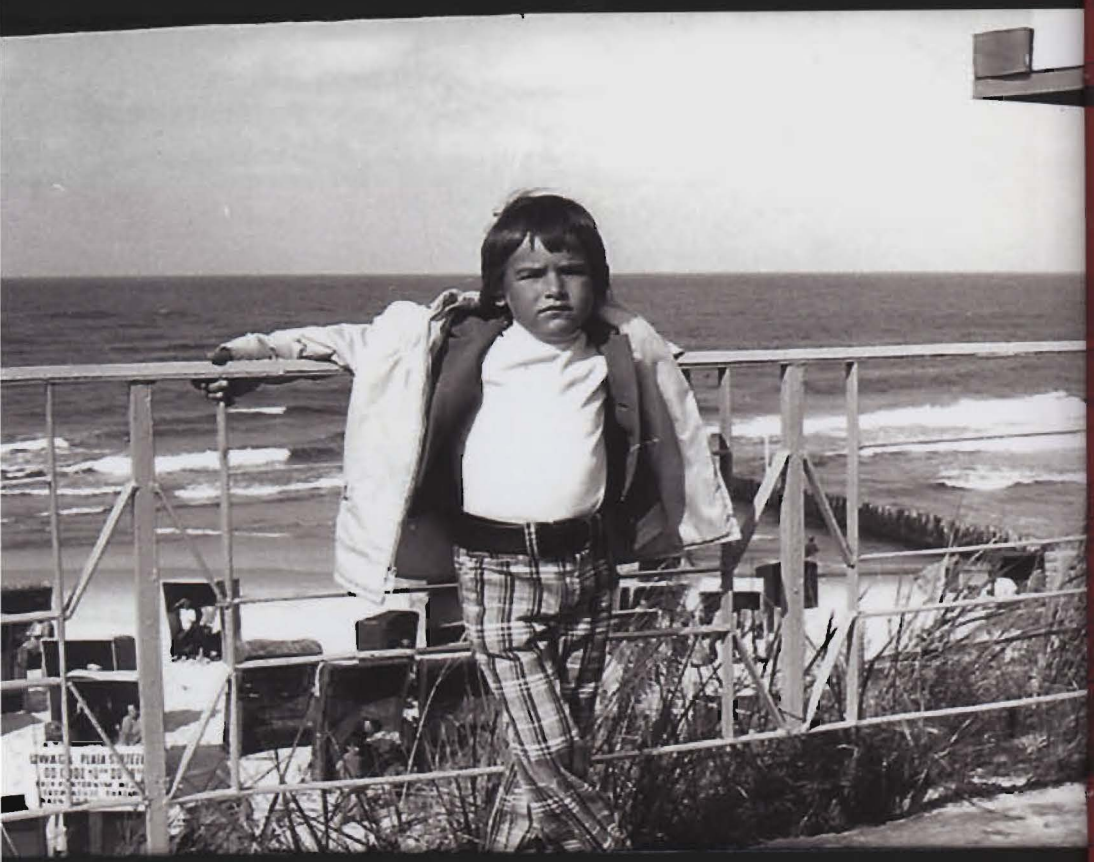

Płacze pani Słowikowa w gniazdku na akacji,
Bo pan Słowik przed dziewiątą miał być na kolacji.
Tak się godzin wyznaczonych zawsze pilnie trzyma,
A tu już po jedenastej – i Słowika nie ma...

Nie pamiętam całego występu zbyt dokładnie. To było w przedszkolu. Podobno doprowadziłem do silnego wzruszenia mamę i babcię. Potem przydarzyły się jeszcze: rola Kirkora w szkolnym przedstawieniu, wiersze na akademiach (głównie z okazji pierwszego maja i rewolucji październikowej), jakieś konkursy recytatorskie i od czasu do czasu teatralne sceny domowe polegające na nagłych omdleniach i udawaniu trupa z plamą rozlanego keczupu na podłodze... I jeszcze oglądanie spektakli, głównie w Nowym, a przedtem wizyty w operze i operetce – z dziadkiem. Tu mój entuzjazm był nieco mniejszy, za to najbardziej tajemniczy obiekt z dzieciństwa to wóz z dekoracjami stojący na tyłach poznańskiej opery. Strach przed jego brezentowymi osłonami łopoczącymi wieczorem na wietrze mieszał się z fascynacją. Wiele razy śnił mi się jako siedziba upiora.

Kiedy kończyłem liceum, nie znalazłem jednak w sobie wystarczającej determinacji, żeby zdawać na aktorstwo. Poza tym nie można przecież tak łatwo wyemigrować z porządnego poznańskiego domu na "jakieś tam teatralne studia", w Polskę. Porządny syn musi mieć porządny zawód. I tak zostałem inżynierem, co udało mi się głównie dzięki architektowi Jerzemu Gurawskiemu. Scenografie mojego ulubionego profesora, jego niesłychanie dowcipne opowieści o pracy z Grotowskim, pozwoliły mi uwierzyć, że architektury od teatru nie dzieli tak wiele. Podczas studiów był oczywiście także teatr – silny poznański "off" z początku lat 90-tych. Najpierw grupa studencka przy UAM, potem letnie warsztaty w Pałacu Kultury i Teatr Malczewskiego, w którym po raz pierwszy poczułem smak reżyserii, pierwszych teatralnych przyjaźni, scenicznych miłości... Podczas pierwszych studiów myślałem już o zdawaniu na reżyserię, ale największy wpływ na ostateczną decyzję miała praca w Nowym. Pamiętam, że pomagałem przy kampanii promocyjnej *Króla Leara*: projektowałem ogromną koronę, osobiście naklejałem na arkusze blachy wielkie portrety Łomnickiego, a co najważniejsze – mogłem podglądać próby, rozmawiać z aktorami, oddychać atmosferą prawdziwego teatru. Wiedziałem już, że to mój świat. Bez problemu zdałem do PWST w Warszawie. Na egzaminie wstępnym bardzo pomogła mi wiedza z dziedziny architektury. Z całych studiów najsilniej utkwiły mi w pamięci anegdoty Gustawa Holoubka będące miniaturami spektakli – perfekcyjnymi dramaturgicznie, zawsze z podziałem na role i z niebywale śmieszną puentą.

Do Poznania wróciłem wyreżyserować spektakl dyplomowy. Tuż przed premierą wziąłem ślub, z którego pamiętam głównie... stres przed premierą. Potem nadeszło pięć lat jeżdżenia po teatrach od Gdyni po Kraków. Wir pracy, zalążek wiary we własne siły i w możliwość utrzymania się z reżyserii, ciągłe życie na walizkach. I rozwód. Potem rekonwalescencja: sześć lat wielkiej artystycznej przygody w Wałbrzychu – z poczuciem spełnienia, pomimo mieszkania na maleńkim poddaszu, w teatrze. Myślałem, że teraz – po kolejnym powrocie do Poznania – coś się wreszcie w życiu ustabilizuje. Przyznam, że podjąłem nawet we wrześniu silne postanowienie zamieszkania we własnym domu. Guzik. Pracuję, jem i śpię w teatrze.

Pan Słowik nadal nie wraca na kolację.

Partnerzy,
patroni, mecenasi

KB Kredyt Bank
Finanse z zasadami

WARZELNIA
HARMONIA MIEJSCA

NICKEL
www.nickel.com.pl

Dalkia

radio Merkury
POLSKIE RADIO

gazeta

TEATR NOWY
IM. TADEUSZA ŁOMNICKIEGO W POZNANIU

Teatr Nowy
im. Tadeusza Łomnickiego w Poznaniu
ul. Dąbrowskiego 5, 60-838 Poznań

Centrala
tel. 61 848 48 85

Biuro Obsługi Widzów
tel. 61 847 24 40
fax 61 848 49 33

Sekretariat
tel. 61 848 49 89

www.teatrnowy.pl
sekretariat@teatrnowy.pl

INSTYTUCJA KULTURY
SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO

Dyrektor
PIOTR KRUSZCZYŃSKI

Zastępca dyrektora
JACEK NADARZYŃSKI

Główna księgowa
BEATA KALISZAN

Kierownik literacki
KATARZYNA MIGDAŁOWSKA

Zespół aktorski
DOROTA ABBE-KUŹMIŃSKA, JANUSZ ANDRZEJEWSKI, PAWEŁ BINKOWSKI, BOŻENA BOROWSKA-KROPIELNICKA, ANTONINA CHOROSZY, WOJCIECH DENEKA, TADEUSZ DRZEWIECKI, EWELINA DUBCZYK, RADOSŁAW ELIS, GABRIELA FRYCZ, GRZEGORZ GOŁASZEWSKI, JANUSZ GRENDA, ZBIGNIEW GROCHAL, MICHAŁ GRUDZIŃSKI, PAWEŁ HADYŃSKI, BOLESŁAW IDZIAK, NIKODEM KASPROWICZ, MICHAŁ KOCUREK, MIROSŁAW KROPIELNICKI, BARBARA KURDEJ, SŁAWA KWAŚNIEWSKA, ANDRZEJ LAJBOREK, MATEUSZ ŁAWRYNOWICZ, MAŁGORZATA ŁODEJ-STACHOWIAK, CEZARY ŁUKASZEWICZ, EDYTA ŁUKASZEWSKA, ALEKSANDER MACHALICA, ŁUKASZ MAZUREK, ANNA MIERZWA, DANIELA POPŁAWSKA, OKSANA PRYJMAK, MARIUSZ PUCHALSKI, AGNIESZKA RÓŻAŃSKA, MARIA RYBARCZYK, ILDEFONS STACHOWIAK, WALDEMAR SZCZEPANIAK, MARTA SZUMIEŁ, MARIUSZ ZANIEWSKI

Inspicjenci
JADWIGA FIGIEL-IDZIAK, DOROTA KUCZYŃSKA-STANDEŁŁO, HANNA KUJAWIAK, KRZYSZTOF PRZYBYŁOWICZ

Edukacja teatralna
AGATA BARELKOWSKA

Public relations
EWA GÓRCZYŃSKA

Kierownik Impresariatu
ANDRZEJ HAMERSKI

Impresariat
MARIANNA SZAJDAK

Sekretarz literacki
MAREK GRZEŚKOWIAK

Sekretariat
AGNIESZKA KASPRZAK

Kierownik Biura Obsługi Widzów i koordynacji pracy artystycznej
MATYLDA STREBEJKO-KOMAROWSKA

Biuro Obsługi Widzów
EWELINA KLEBAŃSKA, ARLETA MĄDRA

Kasy biletowe
KRYSTYNA KORDOWSKA, EDYTA WIATROWSKA

Obsługa widowni
ALEKSANDRA OBARSKA

Kierownik działu produkcji i eksploatacji spektakli
BARTOSZ BOROWICZ

Kierownik produkcji
MAREK MATUSZAK

Kierownik eksploatacji spektakli
ZBIGNIEW GRASZA

Pracownia perukarsko-charakteryzatorska
ALINA MAGNUS, MAŁGORZATA STAWICKA

Rekwizytorzy
RYSZARD PSZCZOŁA, JERZY ŚWIT

Garderoba damska
ILONA PIOTROWSKA

Garderoba męska
ANNA BARTKOWIAK, BARBARA CIESIELSKA

Pracownia krawiecka damska
IWONA TRZECIAK

Pracownia krawiecka męska
JAROSŁAW TRZECIAK, ELŻBIETA KUBICKA

Pracownia tapicersko-dekoracyjna
HENRYK GOMUŁA

Pracownia stolarska
PIOTR MACHEROWSKI, LECH FRANKE

Pracownia modelarska
JACEK ZUJEWSKI

Kierownik pracowni oświetlenia sceny
LESZEK KARGOL

Oświetleniowcy
DAMIAN PERUCKI, KRZYSZTOF WASIELEWSKI, WOJCIECH WOJTKOWSKI

Kierownik pracowni akustycznej
SŁAWOMIR WAWRZYNIAK

Akustycy
PIOTR DELIMATA, SŁAWOMIR KOWALCZYK, MICHAŁ STRYSZYK

Brygadzista sceny
BRUNON URBANIAK

Montażyści
MIROSŁAW BARTKOWIAK, KRZYSZTOF BAUMANN, ROMAN BĄCZYK, ROBERT CZAJKA, PIOTR SZRAMA, ROBERT SZYMLET, TOMASZ ZIENTKOWSKI

Kierownik księgowości
DOROTA KONEWKA

Księgowość
BEATA FRĄCKOWIAK, KAROLINA LUDWICZAK

Płace
MAGDALENA PAWLUK

Kadry
MAŁGORZATA RUTA

Kierownik działu administracyjnego
BOGDAN GAJEK

Specjalista d.s. BHP
WIESŁAW KNIOŁA

Zaopatrzenie
EUGENIUSZ MATUSZEWSKI

Konserwator urządzeń
JAN PŁOCIENNICZAK

Utrzymanie czystości
RÓŻA JEDZINA, BARBARA KOPERKIEWICZ

Redakcja programu
KATARZYNA MIGDAŁOWSKA, MAREK GRZEŚKOWIAK

Opracowanie graficzne
PIOTR RAJKOWSKI - STUDIO GRAFICZNE 36.6 C DESIGN
366@hot.pl

Fotografie
ARCHIWA RODZINNE TWÓRCÓW PRZEDSTAWIENIA, BARTŁOMIEJ SOWA (okładka)

Druk
ZAKŁAD POLIGRAFICZNY
MOŚ I ŁUCZAK SP. J., POZNAŃ

Wydawca
TEATR NOWY IM. TADEUSZA ŁOMNICKIEGO W POZNANIU

Działalność Teatru Nowego wspiera
finansowo, organizacyjnie i duchowo
Stowarzyszenie Loża Patronów Teatru

WACŁAWA ANDRZEJAK
IRENA BALCERKIEWICZ
MAGDALENA I JÓZEF BEJNAROWICZOWIE
PAWEŁ BUGAJNY
ANNA I TOMASZ DZIAŁYŃSCY
BOGUMIŁA I CEZARY FRĄCKOWIAK
KAROLINA I DANIEL FURMAŃCZAK
MAŁGORZATA I JANUSZ GDOWSCY
KRYSTYNA I WŁODZIMIERZ GOLA
GRAŻYNA I MAREK JARZYŃSCY
MARIA I BOGDAN JESIOŁOWSCY
IZABELA I EUGENIUSZ KLIMASZEWSCY
LIDIA KLINCEWICZ
MAŁGORZATA I GRZEGORZ KORYTOWSCY
ALINA I JAROSŁAW ŁABĘDZCY
ANDRZEJ MANN
STANISŁAW MĄDEREK
MAŁGORZATA MERCIK I JACEK MAY
ADRIANA I WOJCIECH OLSZOWIEC
KRYSTYNA I JERZY NADWÓRNI
MARTA I TOMASZ PIĘTA
PIOTR KAROL POTEMPA
KINGA PROCEK
JAN ROZPŁOCHOWSKI
HANNA I RADOSŁAW RUBASZEWSCY
JERZY RUCIŃSKI
WOJCIECH SAJDA
BARBARA I MARIUSZ SŁOWIŃSCY
ELŻBIETA I ROMAN STASIEROWSCY
LIDIA I JAROSŁAW SZCZEPAŃSCY
RYSZARD SZULC
KRYSTYNA SZULCZEWSKA
BEATA I WALDEMAR ZALASZEWSCY
ANNA ZYGUŁA
GIZELA ŻEGOTA-RZEGOCIŃSKA

Członkowie honorowi:

MAREK BYKOWSKI
IZABELLA CYWIŃSKA
KRZYSZTOF JAKUBOWSKI
ANNA KAREŃSKA
ANDRZEJ KAREŃSKI-TSCHURL
EUGENIUSZ KORIN
EWA KRUK
JERZY KUR
EWA PACHURA
STANISŁAW SOŁTYSIŃSKI
ROMUALD SZPERLIŃSKI
PIOTR VOELKEL
ANDRZEJ WITUSKI

Członkowie wspierający:

DR KRYSTIAN ZIEMSKI & PARTNERS
KANCELARIA PRAWNA
PRACOWNIA BIŻUTERII ARTYSTYCZNEJ CHART
WŁODAWIEC I SYN
TRUST S.A.

Concerto

POZNAJ ŚWIAT CONCERTO

Świat nowej bankowości osobistej
i niezwykłych wydarzeń muzycznych

W Kredyt Banku chcemy, żeby każdy czuł się wyjątkowy, dlatego z myślą o najbardziej wymagających Klientach stworzyliśmy prestiżowy zestaw najwyższej jakości usług i produktów: Program Concerto – Nową Bankowość Osobistą.

Program Concerto to unikalne konto osobiste **Ekstrakonto Concerto**, atrakcyjna oferta oszczędnościowa, inwestycyjna i kredytowa oraz **możliwość uzyskania biletów na wybrane koncerty.**

Zapraszam do świata Concerto.

Wojciech Mann

Konto osobiste
7%
w skali roku do
salda 5 000 zł

www.concerto.pl
815 317 217
opłata wg taryfy operatora

PROGRAM CONCERTO
Nowa Bankowość Osobista

KB Kredyt Bank
Finanse z zasadami

NICKEL

BIURO SPRZEDAŻY

UL. PIĄTKOWSKA 110
T. +48 61 639 76 50

NOWA INWESTYCJA

WARZELNIA

HARMONIA MIEJSCA

Nasza inwestycja Warzelnia, położona jest w sercu terenów zielonych poznańskiej Malty, nad Stawem Browarnym.

W ofercie mamy apartamenty, domy oraz mieszkania o powierzchniach od 54 do 205 m².

BUDYNEK WIELORODZINNY

WILLE MIEJSKIE

DOMY JENDORODZINNE

www.warzelnia.com

D'arte

Dalkia artystycznie

Działalność Teatru Nowego wspiera Dalkia

Kultura jest ważnym elementem rozwoju miasta, dlatego Dalkia – producent i dostawca ciepła dla aglomeracji poznańskiej – wspiera wyjątkowe wydarzenia artystyczne w Poznaniu i Wielkopolsce.

Dalkia. Rozwiązania efektywne energetycznie

Dalkia

PEEPshow

benefis aktora